

Tłumacz jest jak saper

Data publikacji: 27.04.2010 14:15

Rozmowa z Tomaszem Grabińskim, tłumaczem czeskich i słowackich filmów, którego pracę będziemy mieli okazję zobaczyć na tegorocznym festiwalu Kino na Granicy.

Łukasz Grzesiczak: *Gdy ostatni raz widzieliśmy się w Bratysławie, myślałeś o sposobie oddania pewnej niezrozumiałej dla Polaka gry językowej z filmu „Do Czech razy sztuka” J. Hřebejka. Jak udało Ci się wybrnąć z tego problemu?*

Tomasz Grabiński: *Był to problem, który wynikał z różnic między językiem czeskim i słowackim. Przeważnie jeśli w filmach aktorzy mówią raz jednym, a raz drugim językiem – co wcale nie jest rzadką sytuacją – tłumaczy się wszystkie ich wypowiedzi na polski. Różnice w języku, w którym mówi dany aktor, jest w stanie zauważyć lub usłyszeć tylko wprawny widz. Gorzej, jeśli w filmie pojawiają się żarty oparte na różnicach między oboma językami, a tak właśnie było w tym przypadku – żart był oparty na tym, że słowo „žółw” brzmi po czesku (želva) zupełnie inaczej niż po słowacku (korytnačka). W dość gwałtownej scenie żona głównego bohatera, Czeszka, łapie za jego komórkę i czyta wiadomość w telefonie wysłaną przez słowacką babysitter ich dziecka – żeby było jeszcze bardziej skomplikowanie, faktycznie jest to Węgierka ze Słowacji. Na filmie widzimy ekran telefonu ze zdaniem po słowacku: „Zostawiłam u ciebie žółwia”. Po czym żona zadaje kluczowe – z punktu widzenia tłumacza pytanie „Co to jest korytnačka”, a następnie widzimy, jak główny bohater kopie pod łóżko žółwia. Najprostsze rozwiązanie, czyli przekład – Co to jest žółw – jest pułapką, bohaterka bowiem nie jest na tyle głupia, by nie wiedzieć, co to jest žółw. Ona po prostu tylko nie zna słowackiego określenia žółwia. Zresztą, akurat w przypadku nazw zoologicznych takich różnic między słowackim a czeskim jest więcej - np. jeszcze wielbłąd, kijanka, bocian, etc. Jak ostatecznie brzmi ten fragment w wersji polskiej – zachęcam do obejrzenia filmu i ewentualnej oceny zaproponowanego rozwiązania.*

Często w pracy tłumacza spotykasz się z problematycznymi sytuacjami?

Trudno to jakoś generalizować, ale przeważnie każdy film ma swoje trudne momenty. W czeskim kinie dość trudno na przykład tłumaczy się na polski potoczną czeszczyznę, a zwłaszcza ulubione przez Czechów słowo „vole”, „ty vole”, etc. To taki przerywnik w zdaniu, wrzucany często dość automatycznie, który szalenie trudno tłumaczy się na polski.

Przeważnie można go bezboleśnie pominąć, trudno jednak skorzystać z tego rozwiązania, jeśli wtrącenie „vole” stanowi główny punkt w dialogu, jak to miało miejsce w „Butelkach zwrotnych” J. Svěráka.

Która z tych sytuacji była najtrudniejsza?

Najtrudniejsze do tłumaczenia są filmy o dobrych dialogach, w których pojawiają się trudne do oddania w przekładzie żarty słowne. To na przykład dotyczy filmów Jana Hřebejka i Jana Svěráka. Sam jestem ciekaw i chętnie przekonam się, jak w polskiej wersji zabrzmiał parę scen z najnowszego filmu pierwszego z nich. Na przykład, kiedy jeden z bohaterów wyciąga przy kolacji słownik potocznej czeszczyzny P. Ouředníka i czyta listę kilkudziesięciu synonimów do słowa „dupek”.

Czy bliskość języka słowackiego, czeskiego i polskiego bywa zgubna?

Na swój własny użytek porównuję pracę tłumacza do pracy sapera. Człowiek może wiele stron tekstu przetłumaczyć dobrze lub bardzo dobrze, ale musi być czujny przez cały czas, bowiem nigdy nie może być pewien, czy w chwili rozluźnienia nie trafi na jakąś minę. Prawdopodobieństwo tego rodzaju zdarzenia jest dużo większe właśnie w przypadku tak bliskich języków jak polski i języki naszych południowych sąsiadów. Nie przypadkiem mówi się o tzw. faux-amis, fałszywych przyjaciółach tłumacza, czyli słowach, które pisze się lub brzmią podobnie, ale mają odmienne znaczenie. Wystrzeżenie się tego rodzaju pułapek to akurat jeden z najlepszych czynników oceny, czy dany przekład można uznać za dobry, czy też za zły.

Oprócz znajomości języka ważna w pracy tłumacza, nie tylko filmów, jest też znajomość realiów w poszczególnych krajach. I na ten temat mam następującą historyjkę. Przed kilkoma laty na KnG leciał jeden czeski film, historyczny, raczej o poważnym wydźwięku - „Krev zmizeleho” M. Cieslara. W pewnym momencie w filmie pojawiła się nowa

postać, przedstawiona - w pełnej zgodzie z czeskim oryginałem - jako doktor Lubicz. Na co cała sala w kinie zareagowała spontaniczną salwą śmiechu, choć sytuacja wcale nie była komiczna, bo doktor Lubicz był funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa. Kim w Polsce jest doktor Lubicz, nie trzeba nikomu tłumaczyć. Reżyser jednak był dość zdziwiony reakcją - przeważnie polskiej - publiczności. Morał z tego jest następujący - tłumacz niechący przyczynił się do niezamierzonego komizmu filmu. Pewnie można by tego uniknąć choćby tylko lekko zniekształcając pisownię jego nazwiska, na przykład na Lubic, Lubitsch lub coś w tym guście.

Na jakie problemy, obce innym tłumaczom, trafia osoba, która zajmuje się przekładami filmów?

Na ten temat istnieje dość bogata literatura przedmiotu. Generalnie, należy pamiętać o tym, że tłumaczy się film, czyli obraz z dialogami, napisami na ekranie, etc., a nie sam tekst. Często zdarza się, że lista dialogowa, jaką otrzymuje się do tłumaczenia odbiega - mniej lub bardziej - od ostatecznej wersji filmu. Czasem jakieś dialogi zostają dopisane, czasem opuszczone. Raz na KnG zdarzył mi się też film, który został kompletnie inaczej zmontowany niż to wynikało z otrzymanych materiałów tekstowych.

Druga ważna różnica w porównaniu z tłumaczeniem tekstu to ograniczenie miejsca - widz musi zdążyć przeczytać dialogi, ich budowa ma też swoje wymogi techniczne. Maksymalnie na ekranie mogą pojawić się jednocześnie tylko dwa wiersze o ograniczonej liczbie znaków. W napisach do filmów nie ma w związku z tym miejsca na przypisy lub szerokie dodatkowe objaśnienia. O tym wszystkim trzeba pamiętać.

Choć czasami jednak coś trzeba dodatkowo wyjaśnić również w , bo przecież widz w Polsce nie musi znać wszystkich realiów czeskich lub słowackich. W „Butelkach zwrotnych” jest scena, podczas lotu balonem, kiedy główny bohater pokazuje żonie Temelin. W Czechach wszyscy wiedzą, że to elektrownia atomowa. W polskich dialogach trzeba było tę informację jakoś uzupełnić.

Skąd w Polsce ta sympatia dystrybutorów do nadawania zagranicznym filmom wyświetlanym w Polsce zupełnie nowych tytułów? To dotyczy także filmów czeskich. Czeską „Nudę w Brnie” wyświetlano u nas jako „Sex w Brnie”, niedawno też pokazywano film „Do Czech razy sztuka”, który po czesku istnieje pod zupełnie innym tytułem.

Nie mam pojęcia, ale kwestia dziwnych polskich tytułów filmów, staje się od czasu do czasu przedmiotem różnych artykułów i drwin. Warto pamiętać, że przeważnie tytuł filmu zostaje nadany nie przez tłumacza, ale właśnie przez dystrybutora, który - jak podejrzewam - liczy na to, że zmiana tytułu względem oryginału przyniesie mu większe zainteresowanie widzów. Jeśli się nie mylę, „Nuda w Brnie” była wyświetlana pod tytułem „Seks w Brnie” również w Niemczech. Natomiast oryginalny tytuł filmu „Do Czech razy sztuka” to „Bezwstydnik”. Jak rozumiem, dystrybutorowi wydała się interesująca bliskość słów „Czech - trzech” i odnalazł w filmie jakieś pokrewieństwo treści z tym powiedzeniem.

Tomasz Grabiński - słowacysta, tłumacz, dziennikarz. Na tegorocznym 12. Kinie na Granicy zobaczymy słowacki dokument „Hranica” J. Vojtki oraz czeski film fabularny „3 sezony w piekle” T. Mašína w jego tłumaczeniu. Filmy w jego tłumaczeniu pokazywane są na festiwalu w Cieszynie od pięciu lat. Obecnie wicedyrektor Instytutu Polskiego w Bratysławie.